

Agnieszka
LIS

LISTY
W GÓRY

Agnieszka
LIS

LISTY W GÓRY

*Ta książka jest fikcją literacką,
mimo że w jej fabułę wplecione są
prawdziwe postacie i zdarzenia,
które miały miejsce naprawdę.*



[Kup książkę](#)



I

1979

Wczoraj.

Wyjechałeś wczoraj.

Tak mi smutno.

Wiem, musisz.

Martwię się, ale może nie powinnam. Kto jak nie ty?

* * *

Nic nie dzieje się przypadkiem. Na pewno. Mówią, że wiara w Boga wyklucza przesady. Tak jak intuicję, sny i złą moc czarnych kotów. To tylko zabobony.

A jednak wierzę. W koty, sny i w Boga. Utrzymuję więc, że w jakimś istotnym celu poszłam wtedy do kawiarni Cafe Sport z przyjaciółką, której imię nie jest dzisiaj istotne. Weszłyśmy do sali pełnej ludzi, gdzie wszechobecny papierosowy dym sprawiał wrażenie mgły, drażnił nozdrza. Nie było nawet jednego wolnego krzesła.

Stałam tam, jakbym na ciebie czekała. Pewnie tak było. Przyjaciółka pociągnęła mnie za rękaw, w stronę wyjścia, ale ja wyczekiwałam, wypatrywałam, aż wstałeś ty i twoi koledzy. Wtedy ożyłam. Miałeś zamiar wyjść, ale

ostatecznie zostałeś. Usiadłeś z nami, dwiema siksami. Chyba ci się spodobałam. Nie wiem, czy to była miłość od pierwszego wejrzenia, nie pamiętam. Wierzę tylko, że na ciebie czekałam.

Minęło pięć lat, a ja cię ciągle kocham. Jakbym cały czas była tamtą dziewczyną z Cafe Sport, zamkniętą w bańce czasu, jakbym wciąż czekała na wolny stół, a potem wpatrywała się w twoje mądre, ciepłe oczy. Dalej przecież czekam. Tylko teraz denerwuję się bardziej. O wiele bardziej niż wtedy gdy jechałeś w Beskidy, Tatry, a nawet i Dolomity.

Teraz martwię się na zapas. Na te długie miesiące rozstania, które przede mną, na całe osiem tysięcy metrów. Na ciszę, którą mam w domu.

Denerwuję się.

* * *

Wieczór. Patrzę przez okno, leżąc na kanapie. Męcę się teraz łatwo i szybko. Jeszcze kilka miesięcy, ale już mam widoczny brzuch. Cieszę się. Prawie równie mocno, jak się boję.

Za oknem zapada noc. Na wsi czy w górach jest już pewnie zupełnie ciemno, tutaj światła ulicznych latarni oślepiają wzrok. Nie widać gwiazd ani drzew, nawet twojej ukochanej jarzębiny. Jakby ich nie było. A ja kocham gwiazdy. Patrząc na nie, myślę, że kiedyś, na którejs, może jeszcze nieodkrytej, się spotkamy.

Założę ślubną sukienkę.

Pamiętasz? Taką ze stójką. Podśmiewałeś się, że nie jest tradycyjna, a ślub przecież był góralski. I diadem włożę

we włosy, jak w dniu ślubu. Ty też nie miałeś ludowego stroju. Aksamitny garnitur i biała wstążka z bukietem w butonierce. Tak będziemy wyglądali. Tam, kiedyś, gdzieś. Byliśmy tacy szczęśliwi.

Co ja piszę? Jesteśmy szczęśliwi, tylko chwilowo oddaleni. To sprawia, że nasze uczucie jest tak dalekie, jak te gwiazdy, których nie widzę.

* * *

Wczoraj zasnęłam nad listem do ciebie. Jak dziecko.

Śnił mi się nasz ślub, a to dobry sen. Byli z nami wszyscy twoi koledzy z wyprawy na Alaskę, mieli na głowach te śmieszne białe kapelusze. Przecież to dobry znak. Bardzo dobry, na pewno.

Wiesz, że małe już się rusza? Czuję łaskotanie od środka. W pierwszej chwili myślałam, że to znowu mdłości. Wyobrażasz sobie? Pomylić nudności z dotykiem dziecka! Pływa w środku i mnie zaczepia.

Nie jestem już sama, a czuję się taka samotna. Wciąż jestem wśród ludzi. I wciąż za tobą tęsknię, choć przecież ledwie dojechałeś. Jeszcze tak długo do wspinaczki. Jeszcze tak wiele dni do twojego powrotu. Już tak bardzo nie mogę się doczekać.

Kiedy się obudziłam, przypomniałam sobie naszą podróż poślubną. Pamiętasz? Ja tak. Będę pewnie pamiętać do końca życia. Uczucie tęsknoty, zawodu i zdziwienia. Para młoda powinna być razem, prawda? Pojechałam na Mazury, tam gdzie mieliśmy spędzić czas razem. Ty wyruszyłeś w Alpy.

Pewnie już wtedy czułam, że nie wygram. Byłam tego pewna? Nie, chyba nie. Choć powinnam się domyślać. Ile razy powtarzałam: „Daj spokój, to niebezpieczne, odpuść, nie jedź”? Nieskończenie wiele razy, już wtedy nie potrafiłabym policzyć. A jednak jechałeś znów, coraz dalej i dalej. I wyżej.

Każdy wyjazd to była dla ciebie szansa. Wciąż jest. Zawsze niepowtarzalna.

A ja, choć zawiedziona i samotna, nie miałam żalu. Zawsze byłam szczęśliwa, widząc twoje zadowolenie. Uśmiech na twarzy, którą wypatrzyłam wtedy w kawiarni, w centrum miasta.

Tyle razy mówiłam, nie będąc słuchana, przeczuwając przegraną pozycję. Jestem mniej ważna od gór. Wiem przecież, choć wcale nie chcę tego roztrząsać.

A jednak mi to nie przeszkadza. Właściwie wkurzam się. Wściekam. Ale wcale nie chcę tego zmieniać. Bo cię kocham, od pierwszego dnia, od zajętego stolika, od niespodziewanego spojrzenia ciepłych, dobrych oczu, które mnie zaczarowały. Chociaż wtedy zupełnie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Przecież przyszedłam tylko porozmawiać z koleżanką przy kawie.

* * *

Dziecko wierci się coraz bardziej. Chciałabym, żebyś już wrócił, a przecież dopiero się aklimatyzujesz. Dziwnie jest w Polsce. Gorąco, choć temperatury raczej są jesienne. Upałów brak. Ale nastroje... Nie lubię polityki, przecież wiesz. Ale nawet do mnie coś niecoś dociera.

Ludzie chodzą podminowani, niby nic, wszystko jak zawsze.

A może to tylko ja? Coraz grubsza i z każdym dniem bardziej tęskniąca.

Boję się, wiesz? Po tym, jak nie urodziła się nasza córka, po tym, jak nie przeżyła. Nie mogę się zadręczać, wiem. Byłbyś niezadowolony. Jak moja mama. Każe mi o tym nie myśleć. Łatwo powiedzieć. Mam w brzuchu dziecko, tak jak miałam tamto. Tamtego nigdy nie trzymałam na rękach, choć wciąż za nim tęsknię. Właściwie dziś powinna już chodzić, ja tymczasem ciągle myślę o niej jak o niemowlaku.

Muszę ufać, że to dziecko będę trzymać na rękach, będę je niańczyć. Całą tę wiarę muszę wziąć na siebie, bo ty powinienesz myśleć wyłącznie o górze. Oddaj się jej, po to tam pojechałeś. Oddaj się jej, żeby ci się poddała.

* * *

Jestem w szpitalu. Leżę i uczę się robić skarpety na pięciu drutach. Najtrudniej wyrabia się piętę. Wiesz, trzeba część oczek przekładać, co to zresztą za różnica.

Leżę w szpitalu.

Boję się o nasze dziecko.

I wszystko wskazuje na to, że zostanę tu na dłużej. Jest szansa, że może wyjdę na trochę. By przejść do samochodu, a potem poleżeć w domu. Zapewne przejść do łazienki i z powrotem. Potem znów tu wrócę. Znowu oliwkowy kolor farby na korytarzu, smród środków dezynfekujących, ohydna mielonka na cienkiej kromce chleba. Szpital.

Równie dobrze może być jednak tak, że wcale stąd nie wyjdę aż do rozwiązania. Aż do stycznia.

Ratunku! Jak to strasznie długo!

A ciebie nie ma.

* * *

Mama jest u mnie codziennie. I ojciec.

Przynoszą mi jedzenie, bo w szpitalu wyłącznie cienka jarzynowa zupa zagęszczana mąką, na drugie plaster mortadeli w panierce i tłuczone niedogotowane ziemniaki, na kolację dwa plastry mielonki.

Chce mi się jeść i chce mi się pić – po cienkiej przestłodzonej szpitalnej herbacie, parzonej chyba z jednej łyżeczki assama na wiadro wody, mam okropne pragnienie. Nie wiem, co tam dodają.

Mama przynosi mi jedzenie i mocną herbatę w termosie. Kawy doktor zabronił. Dziewczyny leżące ze mną patrzą łakomie. Nie mam na tyle dużo, by się dzielić.

Rodzice w końcu muszą wracać do siebie i zostają sama. W sali są smutne ściany, w lekko złotym kolorze, kojarzą mi się okropnie. Z rzadką... hm... głupio to napisać, ale ze sraczką. Taki dziwny kolor, ni to żółty, ni kremowy, ni łososiowy. Chociaż podobno brzoskwinia to owoc, nie kolor, więc pewnie z łososiowym podobnie. W każdym razie kolor jest odrażający, nie pomaga na wyzdrowienie.

* * *

Była dziś u mnie Monika. Nie widziałam jej, nie pamiętam nawet jak długo. A ty pewnie jej w ogóle nie kojarzysz. Koleżanka ze szkoły, mieszkała niedaleko. Moja matka dobrze o niej mówiła, piątkowa uczennica, porządnie ubrana, grzecznie dygająca na dzień dobry. Trudno się dziwić, że gdy spotkała Monikę przy wyjściu ze szpitala, zasypała ją pytaniami. I opowieściami.

Nie spodziewałam się jej tutaj. To smutne miejsce, nie dla takich kolorowych ptaków. Nawet w pierwszej chwili jej nie poznałam. Wygląda jak gwiazda filmowa. Długie włosy, do połowy pleców, zakręcone łagodnie na końcach. Kiedyś były ciemniejsze. Miała na sobie niebieską marynarkę z białą lamówką. Jak to pięknie wyglądało! I do tego plisowana spódnica w żółtą kratę. Takich ubrań nie ma w naszych sklepach. Takie cuda to widuję tylko w „Burdzie”, jak akurat uda się ją pożyczyć.

Monika jest piękną, ale czy wygląda na szczęśliwą? Ma smutek w oczach. A może tylko... Sama nie wiem. Może jest tylko powściągliwa? Nie mówiła wiele. Właściwie głównie słuchała. Z delikatnym uśmiechem na idealnej twarzy. Przyszła z pustymi rękami, jak nie przychodzi się do szpitala, zaraz po spotkaniu z moją mamą. Jakby nigdzie się nie śpieszyła.

Wyszła, a ja nie wiem, kim jest ani jak żyje. Zadawała tyle pytań, tak zajęłam się odpowiadaniem, że nie pytałam. A ona sama nie mówiła. Uśmiechała się tylko, jakby przez mgłę.

* * *

Przypomniałam sobie, gdy przed wyjazdem w Alpy, w trakcie przygotowań, podpisywałaś papiery. Nie powiedziałeś jakie, widziałam jednak twoją twarz. Zerknęłam w nie.

Musiałeś podpisać, że w razie śmierci rodzina w ramach ubezpieczenia nie będzie ściągać ciała do kraju. Zamarłam.

W razie śmierci.

Rodzina.

W ramach ubezpieczenia.

Zdaję sobie sprawę, w o ile lepszej sytuacji jestem teraz. Wtedy nawet nie byłam rodziną. Teraz jestem żoną, więc mogłabym chcieć, a nawet żądać.

Nic nie powiedziałam. Nie przyznałam się, że widziałam ten dokument.

Czy teraz też musiałeś coś takiego podpisać? Teraz jestem rodziną, chciałabym to wiedzieć. Nie, nieprawda. Teraz jestem rodziną, chcę nią być przez długie lata. Nie chcę nic wiedzieć o ściągnięciu ciała do kraju.

* * *

Dzisiaj usłyszałam, że podobno dotarliście do wysokiego obozu. Lada dzień będziesz atakował szczyt. Mam wrażenie, że czuję każdy twój oddech, jakby w sobie.

Nie mogę spać, dziecko mnie kopie.

Naprawdę nie dowodzi więcej ani mniej, choć pewnie czuje mój niepokój. Bo się denerwuję. Martwię się, nie mogę spać. Wyobrażam sobie, że odczuwam każdy twój oddech, jakby zmrożone powietrze wchodziło do moich płuc. Zasypiam na chwilę i widzę pod powiekami masyw